



# Witamy w rzeźni Nightside

*Fahrenheit Crew*



Simon R. Green

*Coś z Nightside*

Tłum. Mateusz Repeczko

Fabryka Słów, 2011

Stron: 215

Cena: 32,90

Wszystko zaczyna się pewnego deszczowego wieczoru, gdy do niezbyt reprezentacyjnego biura detektywa Taylora wchodzi wystrzałowa kobieta, z gatunku tych, które przeciętni faceci jedynie w snach widują. Kobieta wygląda jak milion dolarów i sporo z tej puli jest w stanie zaoferować za pomoc w odnalezieniu zaginionej córki. Rzuca sugestię, że nastolatka może przebywać w Nightside, bo do takich wniosków doszli inni detektywi, którzy zajmowali się sprawą. Co ciekawe, stanowczo odmawiali dalszego śledztwa. Joanna, bo tak ma na imię bogata piękność, nie ma pojęcia, gdzie owo miejsce się znajduje. Taylor natomiast wie, choć wolałby nie wiedzieć. Razem z kobietą schodzi do metra i otwiera ukryte przed oczami zwyczajnych mieszkańców miasta drzwi wiodące do zupełnie innego Londynu. Od pierwszych liter widać, że mroczne alter ego szacownej aglomeracji to miejsce nietuzinkowe.

Zachęcona rozwojem sytuacji przygarnęłam „Coś z Nightside” i zaprosiłam na wspólną majówkę. Nawet ręce z uciechy zatarłam, wiedząc, że książka jest pierwszą z wielotomowej serii. No i się trochę rozczarowałam. Niby wszystko jest w porządku, ale...

Właściwie całość się klei, potwory, sceny i pełne krwi landszafty na poziomie, a dialogi momentami dowcipne. Narracja niezła. Trochę żal, że nieznanne światy zamknięte w szczątkowych opisach nie drażnią wyobraźni mocniej. Kulminacyjna scena przejmująca, ale niestety dla wprawnego czytelnika przewidywalna od kilku stron wstecz. Mimo wszystko mocna czwórka za pomysł.

Postać głównego bohatera jest nieco nijaka i pomimo sugestywnych ilustracji wciąż zmysłami ledwie uchwytna. Może taki był zamysł autorski? Nie będę się sprzeczać. Pierwszy tom serii zawsze niesie na podółku liter oczekiwanie, dlatego jestem pełna dobrej myśli, że w następnych tomach będzie barwniej, dokładniej i bardziej klimatycznie.

Po lekturze miałam wrażenie, że autor chciał zbyt wielki worek pomysłów wepchnąć do jednej historii i na wysmakowanie detali miejsca mu zabrakło. Liczę, że w kolejnych częściach autor wyhamuje tempo i pozwoli czytelnikowi przyjrzeć się spokojnie dziwnemu miejscu, w którym konie boją się dentysty, a w popularnym pubie czas zatrzymał się w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Inną rzeczą, która kompletnie do mnie nie przemówiła, jest ilość flaków, krwi i bezceństw wszelakich. Autor podjął próbę opisanie świata, przy którym Sodoma i Gomora to program edukacyjny dla przedszkolaków. Miało być ciemno i straszno i do pewnego stopnia było, ale nie do końca. Przerazić może nawet cień na ścianie, pod warunkiem że stworzy się w książce stosowny klimat. Green natomiast postawił na ilość. Z każdej strony bombardują jaźń czytelnika robale, mordercy, bandy łajdaków a nawet krwiożerczy kosmici. Po kolejnej stronie permanentnej masakry potencjalny odbiorca zwyczajnie ma przesyt i niestraszne mu wyprute flaki. By nie wspomnieć o tym, że opis podejrzanego gardła czyta z kliniczną obojętnością.

Z całą mocą podkreślam jednak, że pomimo powyższych niedostatków pozycję można polecić. Może tak troszkę na wyrost, ale warto. Jestem dobrej myśli i czekam na następne tomy.

Aha, pochlebne słowo dla tłumacza wtrącam.

*Jagna Rolska*